

Neoliberalne dogmaty wracają

3 czerwca 2011

Polityka ekonomiczna prowadzona obecnie w Europie zdradza brutalny powrót do dogmatów myślenia neoliberalnego. Bezpośrednim jej celem jest doprowadzenie do tego, by za kryzys zapłacili wszyscy obywatele, bez względu na to, że nie oni są za niego odpowiedzialni, a w dalszej perspektywie – kontynuacja demontażu państwa socjalnego. W obliczu tak wytyczonych celów, które doprowadzić mogą jedynie do pogłębienia obecnego ekonomicznego i społecznego kryzysu, wyłania się potrzeba pracy nad zarysem nowej konstrukcji Europy.

Projekt oparty na woli stworzenia przestrzeni gospodarczej z jedną walutą, ale bez odpowiedniego budżetu, nie miał szans na spójność. Unia walutowa w kontekście cięć budżetowych okazała się maszyną do produkowania nierówności. Stopy inflacji nie mają żadnego powodu, żeby się wyrównywać. Ceny w danym kraju rosną w odniesieniu do tamtejszej inflacji – nawet jeśli koszty wynagrodzeń nie są „wygórowane” – co wpływa na relatywną konkurencyjność wewnątrz strefy euro. W tym samym czasie realne stopy odsetkowe również się rozchodzą: wylicza się je bowiem na bazie różnicy między mniej lub bardziej wspólną stopą odsetkową a stopą inflacji właściwą dla każdego z krajów. Kraje, w których stopa ta wykracza ponad średnią, tracą na konkurencyjności i zostają zmuszone do podtrzymywania wzrostu albo dzięki nadmiernemu zadłużeniu, albo opierając się na swojej specjalizacji, a więc idąc wbrew tendencji ujednolicania struktur produkcji.

ZATRUTY DAR

Patrząc wstecz, widzimy, że decyzja o przyjęciu euro nie była wcale oczywista – wystarczyłoby wprowadzenie wspólnego pieniądza, czegoś w rodzaju upłynnionego euro do obsługi wymiany między obszarem europejskim a resztą świata i

wymienialnymi walutami wewnątrz niego. Jedyne powód, który pozwala zrozumieć, skąd wzięła się taka decyzja, jest taki że euro opracowano jako narzędzie dyscypliny budżetowej oraz, zwłaszcza, płacowej. Kiedy nie można wspomóc się dewaluacją, jedyną zmienną umożliwiającą korektę pozostają wynagrodzenia.

A jednak system ten funkcjonował lepiej lub gorzej aż do wybuchu kryzysu, a to dzięki połączeniu kilku czynników. Po pierwsze, niektóre z krajów (głównie Hiszpania i Włochy) zostawiły sobie margines konkurencyjności, obniżając wartość swojego pieniądza, zanim na wieki wieków zakrzepła w postaci euro. Kraje te odbiły się następnie od dna i zaczęły wskazywać nieproporcjonalny wzrost, gdyż skorzystały z otwartej przez euro możliwości, by zanotować deficyt handlowy, który wszak nie bez powodu nie był już groźny dla ich waluty. Szczególnie dobrze widać to na przykładzie Hiszpanii, której deficyt handlowy miał podobne rozmiary, co deficyt Stanów Zjednoczonych.

Strategia Niemiec od ujednolicenia pieniądza prowadziła najpierw do obniżenia nadwyżek handlowych. Aparat produkcyjny tego kraju został przeprogramowany na obsługę powiększonego rynku wewnętrznego, a rozwijać się mógł dzięki poważnym transferom zasobów publicznych (czego Niemcy nie chciały przeprowadzić w przypadku Grecji, dopóki nie pojawiła się groźba, że kryzys wymknie się spod kontroli). To z tego powodu, jak również ze względu na politykę Stanów Zjednoczonych, wartość euro zaczęła spadać od momentu utworzenia, mimo że zaprojektowano je jako walutę silną. Skorzystał na tym eksport ze strefy euro do innych obszarów świata. Z kolei delokalizacje w łonie Europy prowadzono, licząc na wyższe zyski we wskazanych krajach, ale miały przynajmniej tę zaletę, że wspomogły integrację nowych państw członkowskich.

Wszystkie te nadprogramowe korzyści musiały się jednak w końcu wyczerpać. Niemiecka polityka deflacji wynagrodzeń, która pozwoliła Niemcom zwiększyć udziały w rynku, w dużej mierze

wewnątrz strefy euro, wpłynęła na znaczne pogorszenie się biegu spraw. Choć strefa euro pozostawała w ogólnej równowadze, przepaść między niemiecką nadwyżką a deficytem innych państw zaczęła się pogłębiać.

Od wprowadzenia euro krajowe stopy wzrostu gospodarek strefy euro, zamiast zbliżyć się do siebie, stawały się coraz bardziej rozbieżne. Kryzys gwałtownie przyspieszył polaryzację strefy euro, dzieląc ją na dwie grupy krajów. Z jednej strony, Niemcy, Holandia i Belgia mogły się pochwalić poważnymi nadwyżkami w wymianie handlowej, a ich deficyt publiczny pozostawał umiarkowany. Drugi biegun ukonstytuowały niesławne PIGS (Portugalia, Włochy, Grecja i Hiszpania), będące w odwrotnej sytuacji: miały poważne deficyty handlowe i deficyty publiczne, które już wcześniej były wyższe od średniej unijnej. Podczas kryzysu deficyty budżetowe pogłębiły się wszędzie, jednak w pierwszej grupie krajów znacznie mniej, gdyż zachowały one nadwyżki handlowe. W pozostałych krajach sytuacja pogarszała się, długi publiczne szybowały w górę, a nierównowaga handlowa pogłębiała się.

Dług publiczny zastąpił zadłużenie prywatne, przesuwając kryzys na ten właśnie obszar. Z takiego punktu widzenia plan ratowania euro to tak naprawdę drugi plan ratunkowy dla banków europejskich, ponieważ to one właśnie są wierzycielami Grecji i innych zagrożonych państw. Jako argument za szybkim wdrożeniem drastycznych planów oszczędnościowych przywołuje się ataki spekulacyjne. W istocie rządy europejskie mają jeden wspólny cel: jak najszybciej powrócić do business as usual. Tyle że cel ten jest nie do osiągnięcia, właśnie dlatego, że wszystko, co umożliwiało godzenie sprzeczności bankowej integracji walutowej, stało się nie bezużytecznej wskutek kryzysu. Bez radykalnego zwrotu tak postawiony program prowadzić będzie do chaosu (chaotycznego i cząstkowego odbijania się od dna) albo nawet rozpadu strefy euro.

EURO: WYCHODZIĆ CZY NIE?

Pytanie to podnosi się dziś coraz częściej, zwłaszcza w łonie ruchów alterglobalistycznych i w państwach najsilniej uderzonych kryzysem. Wyjście ze strefy euro może mieć dwie zalety. Znow byłaby możliwa dewaluacja krajowego pieniądza i w związku z tym przywrócenie konkurencyjności. Dług publiczny mógłby zostać wykupiony przez bank centralny, a więc sfinansowany emisją pieniądza, czego kategorycznie zakazują Traktaty Europejskie.

Ale wyjście ze strefy euro pociąga za sobą też ogromne ryzyko. Powrót do waluty krajowej oznacza narażenie jej na międzynarodowe spekulacje i, w konsekwencji, dewaluację na wielką skalę, która najpierw mogłaby doprowadzić do niekontrolowanej inflacji, a następnie – do kolejnej dewaluacji. Emisja pieniądza na pokrycie deficytu budżetowego napędziłaby tylko dodatkowo to błędne koło inflacji/dewaluacji. Jedynym sposobem, żeby się z niego wydobyć, mógłby być wówczas program oszczędnościowy przynajmniej równie surowy, jak te wdrażane w tej chwili. Nawet jeśli przyjmemy, że deficyt da się pokryć emisją waluty, dewaluacja krajowego pieniądza zwiększyłaby realny ciężar długu publicznego, jako że jest on przeważnie naliczany w euro lub dolarach.

Progresywna strategia opierałaby się tymczasem na nieuznaniu deficytu, tłumacząc to tym, że został on spowodowany przez prezenty fiskalne albo ratowanie banków. Więcej wniosłaby więc reforma fiskalna opodatkowująca beneficjentów wcześniejszych obniżek oraz podmioty odpowiedzialne za kryzys. Konkludując, kwestia, czy należy obniżyć wydatki publiczne czy zwiększać wpływy do budżetu jest równoznaczna z pytaniem: kto ma zapłacić za wyrządzone przez kryzys szkody?

Jedno (z wielu) rozwiązań pozwoliłoby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: zaoferowanie bankom wykupu bardzo nisko oprocentowanych obligacji na pokrycie długu publicznego. W ten sposób można by zapewnić źródło finansowania państwowego budżetu, a jednocześnie sprawić, by banki zapłaciły za

gwarancje pomocy ze strony państwa w czasie kryzysu.

SZALEŃSTWO OSZCZĘDZANIA

Rządy europejskie odpowiedziały na pogłębianie się deficytów powszechnym i gwałtownym zwrotem ku budżetowym oszczędnościom. Jest to jednak prawdziwe szaleństwo – może jedynie uniemożliwić wyjście z kryzysu. Twierdzenia odwrotne przeczą nie tylko teorii ekonomicznej (Keynes twierdził, że „dobrym momentem na oszczędności, jest boom, a nie kryzys”), ale też temu, co wiemy na podstawie doświadczeń z przeszłości.

W niedawnym studium Międzynarodowego Funduszu Walutowego („World Economic Outlook”, MFW, październik 2010) ustalono, że „konsolidacja budżetowa” rzędu jednego punktu PKB prowadzi do spadku PKB o 0,5%, który może podnieść się nawet do 1% w przypadku, gdy politykę taką poweźmie większa liczba krajów. Tymczasem z tym właśnie mamy do czynienia w Europie, co całkowicie zmienia postać rzeczy. Co innego, jeśli jakiś kraj decyduje się na to na własną rękę, a zupełnie co innego, kiedy wszystkie kraje europejskie robią równocześnie takie samo posunięcie. Jednak prognozy zalecające taką politykę nie biorą pod uwagę rzeczoności mechanizmu, albo uwzględniają go tylko wybiórczo.

Czy Europę mogłaby uratować reszta świata? Ta droga też jest zamknięta. Stany Zjednoczone wciąż wykazują bardzo niewielki wzrost i nawet w najlepszym wypadku Obama nie będzie mógł wyprowadzić gospodarki na prostą. Polityka ekonomiczna zboczyła w stronę zastrzyków gotówki (quantitative easing), które służą zadowoleniu spekulantów, ale mogą stać się pożywką dla następnej bańki finansowej. W bezpośredniej perspektywie prowadzą natomiast do zniżki dolara, która mocno odbije się na europejskim eksporcie.

Co z krajami rozwijającymi się? Bez wątplenia podciągają one światowy popyt. Ale nie wszystkie kraje europejskie są w równie dobrej pozycji, co jedynie wzmacnia różnice rozwojowe w

łonie Europy. Nawet w przypadku Niemiec eksport do krajów rozwijających się nie jest w stanie skompensować zastoju na rynku europejskim: kraje Europy środkowej i wschodniej oraz Chiny w 2009 r. odbierały zaledwie 16% niemieckiego eksportu, który w 63% uzależniony jest od rynku europejskiego.

Skąd jednak ten gwałtowny zwrot w stronę planów oszczędnościowych? Często tłumaczy się to naciskami rynków finansowych. Ale presja ta zachodzi tylko dlatego, że europejskie rządy nie zrobiły nic, by stłumić ją w zarodku. Prawdziwe przyczyny leżą gdzie indziej – przede wszystkim w odmowie porzucenia taktyki typu „każdy sobie” na rzecz koordynacji polityk krajowych. Kryzys to także – i nade wszystko – okazja do przeprowadzenia terapii szokowej, która zarazem sprawi, że zapłacą za niego nie ci, którzy do niego doprowadzili, i pozwoli raz a dobrze odchudzić państwo socjalne. Wystarczy zauważyć, że wszystkie plany oszczędnościowe kierują się dwiema regułami: obniżaniem przede wszystkim wydatków na cele społeczne, a nie zwiększaniem wpływów do budżetu. Jeśli w jakikolwiek sposób wpływy się zwiększa, odbywa się to przez podwyżki VAT-u, podatku najmniej sprawiedliwego społecznie, który jednak ma ostateczną zaletę – jest czymś w rodzaju zakamuflowanej dewaluacji.

Szybki przegląd krajów europejskich wskazuje, że rządy lewicowe i prawicowe niczym się od siebie nie różnią, podchwytyjąc projekt uderzający w zwykłych ludzi i podkreślając, że nie ma wobec niego alternatywy. Jest to regres społeczny o niespotykanej wcześniej brutalności, początek procesu rozkładu struktury społecznej, prowadzący do rozpadu Unii Europejskiej. Pociąga za sobą też ryzyko nowej fali recesji – o ile siłom społecznym nie uda się zmusić rządów do wycofania się z obranej polityki.

ZERWANIE I NOWE FUNDAMENTY

Rządy tłumaczą, że nie ma alternatywy. Nic bardziej mylnego – w istocie istnieje „aż za wiele” propozycji. Na przykład,

wypadałoby, ażeby Europa zdecydowanie powiększyła swój budżet, tak by móc faktycznie przywracać równowagę i finansować konieczne inwestycje. Budżet ten można by sfinansować za pośrednictwem ujednoliconego opodatkowania kapitału – miałoby to też tę zaletę, że uruchomiłoby zasoby w tej chwili leżące odłogiem.

Natychmiast jednak pojawiają się zastrzeżenia: jeśli z prowadzeniem „dobrej” polityki czekamy na wyłonienie się „dobrej” Europy, prawdopodobnie jeszcze sobie trochę poczekamy. Byłoby absurdem spodziewać się skoordynowanego zwrotu w każdym państwie europejskim jednocześnie. Do pomyślenia jest tylko taka hipotetyczna strategia, która za punkt wyjścia przyjmie doświadczenie społecznej transformacji zapoczątkowanej na poziomie jednego tylko kraju. Rząd takiego państwa musiałby podjąć kroki w celu wprowadzenia podatku od kapitału – myśląc trzeźwo, musiałby jednak zarazem spodziewać się działań odwetowych: wprowadziłby więc kontrolę kapitałową. Takie środki ochrony prowadzonej reformy podatkowej weszłyby natychmiast w otwarty konflikt z europejskimi regułami gry. Jednak podjęcie jednostronnej inicjatywy wyjścia ze strefy euro nie leżałoby w jego interesie, gdyż nową walutę natychmiast by zaatakowano, by osłabić gospodarkę „zbuntowanego” kraju.

Należy założyć, że konflikt jest nieuchronny, i pracować nad stosunkami sił. Pierwszym punktem oparcia byłaby potencjalna szkodliwość względem interesów kapitalistów. Nowatorska polityka umożliwiłaby restrukturyzację długu państwowego, nacjonalizację zagranicznego kapitału itp... albo tylko zagrozić, że się to zrobi. Jeśli nie będzie chodziło o bardzo mały kraj, zdolność odpowiedzi powinna się okazać znaczna (biorąc pod uwagę wzajemne powiązania gospodarek). Zbyt wielu mogłoby na tym stracić: równowaga sił powinna zostać zachowana.

Ale najsilniejszym argumentem byłby kooperacyjny charakter podjętych środków – bezsprzecznie różny od klasycznego

protekcjonizmu, który w ostatecznym rachunku zawsze stara się wygrać, pożerając udziały w rynku swoich konkurentów. Wszystkie progresywne rozwiązania są tymczasem o wiele bardziej skuteczne, jeśli rozciągają się na jak największą liczbę krajów. Należałoby mówić więc o strategii rozszerzania opartej na następującym programie: potwierdzamy wolę opodatkowania kapitału i podejmujemy odpowiednie środki zabezpieczające. W międzyczasie zaproponowane rozwiązanie powinno przekonać całą Europę. Zerwanie z obecnie istniejącą Europą dokonałoby się więc w imię nowej – innej – Europy. Zamiast oprotestowywać projekt europejskiej odnowy, należałoby przyjrzeć się jego możliwym powiązaniom z zerwaniem z Europą neoliberalną.

Autor: Michel Husson

Tłumaczenie: Agata Czarnacka

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

O AUTORZE

Michel Husson jest ekonomistą, administratorem francuskiego Krajowego Instytutu Statystyki i Studiów Ekonomicznych (INSEE), pracownikiem naukowym w Instytucie Badań Gospodarczych i Społecznych (IRES), członkiem Rady Naukowej Stowarzyszenia ATTAC oraz Fundacji Kopernik. Napisał m.in. „Le grand bluff capitaliste” (2001), „Les casseurs de l’État social” (2003), „Un capitalisme pur” (2008).